

„WESELE” i JUBILEUSZ

MIAŁEM pisać o jubileuszu krakowskiego Teatru im. J. Słowackiego. Ze jubileusz bardzo zastużony, choć obchodzi się go — wzorem Ludwika Solskiego — co pięć lat. Ze Kraków zawsze lubił jubileusz, ale dziś te upodobania rozszerzyły się na cały kraj. Ze w ciągu 75 lat istnienia Teatr im. J. Słowackiego — od Pawlikowskiego do Dąbrowskiego — miał okresy o niezwykle cennym ładunku artystycznym i obywatelskim. Ze były to zawsze okresy łączące patriotyzm dla klasyki narodowej z wrażliwością na współczesną wrodzoność dramatyczną, polską i obcą. Ze — to już względem całkiem osobisty — do sceny tej czuje szczególnie sentyment jako do teatru mojej uniwersyteckiej młodości. Ze obchody jubileuszowe przebiegały w należytym uroczystym nastroju. Ze otwarto równocześnie muzeum teatralne zawierające wiele bardzo interesujących eksponatów. Ze wszystkiemu

patronował inny tegoroczny Wielki Jubilat, Stanisław Wyspiański tak ściśle związany — a potem skłócony — z tym teatrem. Ze pokazano przedstawienie „Wesela”, którego historyczna prapremiera odbyła się na tej samej scenie 68 lat temu.

Właśnie to „Wesele” przyćmiło wszystkie uroczystości. O obchodach zapomni się — do następnego jubileuszu. O „Weselu” w reżyserii Lidii Zamkow — nie. Będzie ono — jak sądzę — stanowiło pozycję historyczną w dziejach scenicznych tego arcydramata. Dla mnie było to najpiękniejsze „Wesele”, jakie widziałem na scenie. I najbardziej jasną, najbardziej klarowną w pokazaniu myśli utworu i w ogólnej koncepcji. Choć na pewno są w nim rzeczy sporne, dyskusyjne, niekonsekwentne. Może nawet wzbudził zasadniczy sprzeciw co do całości pomysłu inscenizacyjnego. Ale przy następnych inscenizacjach „Wesela”

trudno będzie nie wziąć pod uwagę tego, co zrealizowała Lidia Zamkowa.

Najogólniej rzecz biorąc można powiedzieć, że jest to „Wesele” realistyczne, starające się trzymać prawdopodobieństwa życiowego, a jednak uskrzydłone poezją. Cudowną poezją, która płynie z tej chęty roświeconej, rozśpiewanej. Pierwszy akt jest olśniewający. Prawdziwe wesele na wst. Temperamenty grają alkohol działa, nastrój nasycony erotyką bitki i starcia słowne. Prawie nieustanne dźwięki stylizowanego oberka, przez szparę w ścianie młgają w tańcu kolorowe sukmany. Tańczące pary raz po raz przelatują przez scenę. Do zastawionego stołu podchodzą goście, piją wódkę, coś tam zagryzają, rozmawiają. Wszystko toczy się w płynnym, konwersacyjnym tonie, w świetnym rytmie, ze znakomitą wypunktowaniem poszczególnych scen. I ostro pokazany kontrast dwóch

światów: chłopi, prawdziwi, nie z Cepelii — wspomnienia z buntów i panowie z miasta — poza, niemożność, pustka.

To wszystko zagra wyraźnie w dwóch następnych aktach, które są naturalną kontynuacją tamtego, pierwszego. W „osobach dramatu” czyli zjawach Zamkow wyciągnięta ostateczne konsekwencje z faktu, że są one projekcją myśli czy wizją poszczególnych postaci. Ujęta je jako sny i majaki. „Osoby dramatu” nie istnieją. Ich tekst przejmują postaci, którym się one śnią. Za każdym razem dzieje się to w inny sposób, na zasadzie innego pomysłu. Dziennikarz wkłada na głowę czapkę bladeńską ze złożonego numeru „Czasu” i sam z sobą przeprowadza dyskusję stańczykowski, towarzyszą mu przy tym trzej inni Dziennikarze-Stańczycy, identyczni, identycznie się zachowujący i niemi. Wymowa tej sceny jest ostra i szydercza. Poeta pisze po prostu poemat, w którym się zmienia wizja Rycerza. Pochylony i złamany we dwoje Dział wyprostowuje się w potężnego i okrwawionego Szelę. I tak dalej. Także Wernyhora jest snem Gospodarza i obstawia złoty róg istniejący tylko we śnie. Nie ma w tym nic nadprzyrodzonego czy fanta-

tycznego. Po prostu zwykli sny ludzi zmożonych alkoholem i zabawą. Sny, w których wychodzi co się komu w duszy gra. Zapewne poetyka teatralna Wyspiańskiego jest inna. Poetyka pomieszania postaci fantastycznych z rzeczywistością, bez troski o to, co z nimi potem zrobię i jak logicznie rozwiązać konsekwencje ich pojawienia się. Lidia Zamkowa przenosi zjawy do innej poetyki, wprowadza racjonalistyczny porządek, umieszcza wszystko w kategoriach życiowego prawdopodobieństwa. Daje to nowe zaskakujące efekty.

Z tym prawdopodobieństwem wylaniają się już pierwsze trudności przy złotej podkowie zgubionej przez Wernyhora, ale i z tego reżyserka jakoś znośnie wybrnęła. Natomiast nie było rady z finałem. Tu martwooty i skamienienia całego towarzystwa nie można umotywić życiową logiką. Nagle przechodzimy w sferę symboliczną inną niż dotychczasowy bieg przedstawienia. W dodatku Isia, która spełnia rolę Chochoła, nie może narzucić się tak sugestywnym obrazem jak on sam — martwa, słomiana pokrywa. Za to pewną rekompensatą jest kapitalny efekt końcowy: senny tańiec

chochołi stopniowo przechodzi w posuwisty polonez okrążający parokrotnie scenę. I jednak wychodzimy z mocnym wrażeniem końcowym — jak zowuze w „Weselu”.

Przedstawienie jest długie. Trwało na premierze prawie cztery godziny. Choć nie nudziłem się ani przez chwilę, taka dawka wydaje się za duża. Pewne skróty i przyspieszenia tempa zwłaszcza w akcie drugim i trzecim przydałyby się i są możliwe. Pod względem aktorskim spektakl jest bardzo staranny. Różni aktorzy grają lepiej lub gorzej ale nie ma tam roli puszczonej, każda postać zapisuje się w pamięci. Na największe pochwały zasłużyli: Teresa Budzisz-Krzyżanowska (Rachel), Leszek Herdegen (Poeta), Andrzej Mrowiec (Janiek). Ale muszą też być wymienieni z wysokim uznaniem: Maria Malicka (Radczyńska), Helena Chaniecka (Klimina), Włodzimierz Saar (Czepiec), Kazimierz Witkiewicz (Gospodarz), Wojciech Zietarski (Pan Młody), Roman Stankiewicz (Żyd). I jeszcze inni... To przedstawienie zasługuje na dokładne opisanie, ale nie na tym miejscu. Nie piszę recenzji. Chciałem tylko zasymbo- lizować, że śnił się coś ważnego w naszym tegorocznym sezonie teatralnym.